



*

RECENZJA ZAWIERA SPOJLERY!

Moje pierwsze odczucia po wyjściu z kina były mieszane, jednakże po przemyśleniach, które nie odpuszczały, mogę z ręką na sercu stwierdzić, że jest to jeden z moich ulubionych filmów spod skrzydeł Marvela. Czwarta faza od samego początku obfituje w wyjątkowe produkcje, a każda z nich ujęła mnie, jako widza w zupełnie inny sposób. Rzecz jasna, posiada swoje gorsze i lepsze strony, ale tych pierwszych jest zdecydowanie mniej.

Sam Raimi pomysłowo testuje ograniczenia kategorii wiekowej PG-13, tym samym zapewniając nam rozrywkę wysokiej jakości. Twórca trylogii o „Martwym złu” dodał świeżego (mrocznego) powiewu do uniwersum, którego moim zdaniem wcześniej brakowało. Odszedł od schematu dobrych zakończeń i wybielonych bohaterów, którzy nigdy wcześniej nie ubrudzili sobie dłoni krwią na dużym ekranie, choć w teorii nazywano ich złoczyńcami. W *Doctor Strange in the Multiverse of Madness* zbrodnie, obłąd oraz szaleństwo w „najczystszej” formie dzieją się na naszych oczach.

Strona wizualna filmu to coś, co zachwycało mnie od początku do samego końca. Jest to zdecydowanie mój numer jeden spośród filmów MCU. Produkcja ta daje nam nieprzerwany festiwal wizualnych atrakcji. Charakterystyczny styl Raimiego dosłownie wylewa się z ekranu. Z katalogu reżysera dostajemy przekrzywione, wzbudzające grozę zbliżenia (niektóre z nich pozbawione dźwięku, lub doprawione oddechem bohatera — to dopiero budowało klimat!), punkty widzenia w pierwszej demonicznej osobie, wypływające ze ścian i podziemi dłonie, wymiary lustrzane, gnijące zwłoki, czy też wachlarze demonów. Deliryczna ścieżka dźwiękowa Elfmanna komponowała się perfekcyjnie, gdy na ekranie działy się niestworzone rzeczy; natura wypacza prawa fizyki, geometryczne kalejdoskopy rodem z grafik Eschera sąsiadują ze strachami Beksińskiego, a istota ludzka potrafi przemienić się w żywego kleksa lub w swoją animowaną wersję. Podróż pomiędzy alternatywnymi rzeczywistościami, czy też „melodyczna bitwa” do dnia dzisiejszego zapadły mi w obrazowej pamięci, wywołując wciąż ten sam podziw.

Postać Strange'a miała swoje lepsze oraz gorsze momenty. Z początku zarzucałam bohaterowi brak autentyczności, tudzież ujęcie jego charakterowi w porównaniu z poprzednimi produkcjami, jednakże po namyśle, stwierdzam, że Benedict Cumberbatch nieustannie trzymał poziom, do którego przyzwyczaił nas już w pierwszej części przygód Doktora (bardzo spodobała mi się scena, w której Stephen dopija drinka i wyskakuje z balkonu!). Tym razem jednak znacznie więcej w bohaterze człowieka z krwi i kości, którego stać na zmierzenie się z prawdą o sobie samym, poświęcenia, autorefleksje, szczerłość w

uczuciach, czy wyjście z roli mentora na rzecz partnerstwa w działaniu. Bardzo ujęło mnie pytanie, które postawione na początku, przewijało się przez cały film. Z pozoru proste, niezłożone, a udzielenie odpowiedzi przysparzało bohaterom problemu.

Mój największy zachwyt wywołał wątek Szkarłatnej Wiedźmy. Postać, która na stronach komiksów ukazuje się nam od marca 1964 roku. Stanowi jedną z pierwszych oraz głównych członków Avengers, czy też swego czasu antagonistkę, zmieniającą losy całego uniwersum. Teraz (nareszcie) podziwiamy ją na wielkim ekranie, a Elizabeth Olsen dostarczyła nam widowiska na wysokim poziomie, w sposób niemal idealny przedstawiając złożoność charakteru Wandy. Niejednoznaczność postaci sprawiła, że mamy okazję obserwować ją w skrajnie odmiennych kontekstach. Wszystkie one wybrzmiewają na tyle autentycznie, że za jednym razem doprowadza widza do wzruszenia, za innym zaś podrywa ze strachu na jej widok. Tutaj muszę również wspomnieć o kostiumie, w którym Olsen wyglądała przepięknie, oraz o scenie, w której wymawia niepozorne „run” — ciary! Podobnie jak zresztą scena z grupą Illuminati... :)

Xochitl Gomez w roli Americy Chavez jest strzałem w dziesiątkę. Nastoletni superbohaterowie to temat, który nie do końca mnie przekonuje, jednak Chavez ujęła mnie od swoich pierwszych minut na ekranie. Postać pełna charyzmy połączona z bolesną przeszłością przyciągnęła mnie, jako widza. Cieszy mnie fakt, że nie dostaliśmy zdolności superbohaterki „na tacy”, a dopiero pod koniec mieliśmy okazję podziwiać uderzenie niebieskiej gwiazdy. Bardzo spodobało mi się budowanie jej relacji ze Stephenem i jestem bardzo ciekawa dalszych losów tejże postaci!

Cameo, które dostaliśmy, zaskoczyło mnie tylko w jednym przypadku. Cała reszta była ukazana (niestety) wcześniej w zapowiedziach, co uważam za ogromny błąd ze strony osób decyzyjnych, czy zespołów zajmujących się reklamą. Niemniej PRZEOGROMNIE cieszy mnie wprowadzenie X-Menów oraz Fantastycznej Czwórki do MCU i nie mogę doczekać się, aż ich wątki zostaną kontynuowane.

Napomknę jeszcze o pierwszej scenie po napisach, w której możemy ujrzeć Cleę, czyli obecną Sorcerer Supreme oraz żonę Stephena. Charlize Theron wygląda obłędnie, a sam strój jest wręcz jak wycięty ze stron komiksów. Nie mogę się doczekać, by ujrzeć ją (zapewne) w kolejnej części przygód Doktora!

Podsumowując — *Doctor Strange in the Multiverse of Madness* jest dziełem wielopoziomowym i uważam, że każdy powinien wypracować sobie własną opinię na temat tego filmu. Zdecydowanie nie jest to produkcja dla fanów klasycznego kina superbohaterskiego, co osobiście uważam zawsze za OGROMNY plus. Z ręką na sercu — gorąco polecam tę produkcję, bo nawet jeśli nie znacie Marvela zbyt dobrze, to możecie sprawić swoim oczom prawdziwą ucztę na wysokim poziomie!